

BARDZO, ale to bardzo mi miło, że cię widzę. Jestem Heńka. Albo jak wolisz, Anna Henryka. Najtrudniej będzie zapamiętać moje nazwisko, bo owszem, muszę przyznać, że troszeczkę zabawnie brzmi.

Pustowójtówna. No właśnie. Trochę niecodzienne, wiem. Ale to po tacie, który przecież pochodził z Rosji. Opowiem ci zaraz o sobie trochę więcej, tylko pozwól, że najpierw wyjaśnię ci, jaki mam plan. Bo ja lubię mieć plan i według niego działać. Ten plan to pokazać ci moje koleżanki. Żebyście się zapoznały – i może polubiły. Jak fajna dziewczyna z inną fajną dziewczyną. Zabieram cię dziś w podróż po historii. Już się umówiłam z koleżankami, wiedzą, że je odwiedzimy, szykują stroje, plotą warkocze, parzą herbatę, pucują zbroje, siodłają koniki.

Nieraz już o tym rozmawiałyśmy w swoim gronie – że ty nic o nas nie wiesz! A przecież my jesteśmy. Siedzimy takie smutne i samotne gdzieś na pożółkłych ze starości kartach książek, nudzimy się niemiłosiernie, bo nikt do nas nie zagląda, nikt o nas nie czyta, nikt z nami nie rozmawia. Wycieczki szkolne jakoś nas omijają, zawsze idą tam, gdzie są chłopaki, a na nas opadają kurz i okruszki z czipsów. Ileż można tak siedzieć beczynnienie? Ja jestem z tych w gorącej wodzie kąpanych i jak coś postanowię, to natychmiast zabieram się do

roboty. Namówiłam więc koleżanki, żeby otwały dla ciebie swoje domy i wyciągnęły z kufrów najlepsze historie. Kto wie, może następnym razem i do nas zawita szkolna wycieczka (z czipsami). Odważne i mądre dziewczyny – takie jak ty! – mają swoje miejsce w historii. Niektóre z nas były królowymi, inne walczyły na wojnach, pisały książki, malowały obrazy, były naukowcami i w ogóle wszędzie było nas pełno. Głupio więc tak siedzieć w kącie i czekać, aż nas odnajdą. Dziś wychodzimy na światło i przypominamy o sobie.

No to ja już wychodzę, uwaga – raz, dwa, trzy! Od tego siedzenia nieruchomo tyle lat w starej książce zdrętwiały mi nogi i ręce. Niechże się przeciągnę! O tak! O niebo lepiej. Wiesz co – poczekaj chwilę. Ja tylko szybko wskoczę na konika, zrobię małą rundkę po okolicy, i zerknę, czy koleżanki już gotowe na naszą wizytę. To potrwa tyle co nic, obiecuję! Rozejrzę się tylko i wracam.





HENRYKA - DZIEWCZYNA Z POWSTANIA

Ja to się ponoć urodziłam taka hop do przodu. Niektórzy tak mają. Żywe srebro – mawiali, patrząc na mnie. A musisz wiedzieć, moja droga, że to były czasy, kiedy dziewczynki nie za bardzo mogły ganiać po drzewach i dachach. Wielka szkoda, bo okolice, w których mieszkałam, gdy byłam mała, czyli Żytomierz, to naprawdę dobre miejsce na dzikie zabawy i psoty. Zwłaszcza nad rzeką. Ale różnie z tymi psotami bywało, czasem trzeba było siedzieć w domu aż do Wielkanocy, bo się mamusia bała, że od zima zachorujemy. Trzeba było więc wymyślać zabawy w domu albo czytać książki (jak już ktoś umiał czytać).

Rodzice oddali mnie na naukę do Instytutu Żeńskiego, ot takiej tam szkoły dla panien. Nic ciekawego, po prostu trening dobrych manier: kiedy dygać, kiedy siadać, kiedy wstawać, wyszywanie, śpiewanie i nauka języków, by potem móc konwersować na salonach. Krótko mówiąc, nudy na pudy. Niespecjalnie więc tę szkołę lubiłam i chyba mi

się nie dziwisz. Nie rozumiem, dlaczego mnie tak męczą – mówiłam nieraz do siebie i wzdychałam na myśl o tym, co mnie czeka w szkole. Kiedy więc ją wreszcie skończyłam, odczułam dużą ulgę. No i przede wszystkim zamieszkałam u swej kochanej babci Kossakowskiej w Lublinie. A z babcią było mi naprawdę dobrze. Rozumiała mnie jak nikt.

Bardzo lubiłam się wtedy ubierać jak zwykła wiejska dziewczyna, choć byłam panią z miasta. Te wszystkie fatałaszkę, te falbanki – och, to było zupełnie nie dla mnie. Długie brązowe włosy zaplatałam w dwa zwyczajne warkoczki, w które przety-

kałam wstążkami. Wszędzie mnie było pełno i całe miasto mnie znało. Panią dookoła patrzyły na mnie czasem zdumione, gdy biegałam, podśpiewując polskie piosenki – bieganie w owych czasach dziewczętom nie uchodziło. Ale babcia mnie rozumiała.

Wyobraź sobie, że to był czas, kiedy Polski nie było na mapie. Inne kraje wzięły sobie po kawałku naszego i nie chciały za nic nam ich oddać. Mówiono o tym rozbiory. Niespecjalnie mi się to podobało. Zresztą nie tylko mnie. Było nas trochę, tych mocno niezadowolonych. W wolnych chwilach zajmowaliśmy się więc spiskowaniem. Tak w ogóle spiskowanie to jest bardzo ciekawe zajęcie – siedzisz i wymyślasz, co by tu zrobić, by zmienić sytuację, w której się znajdujesz. A robisz to wszystko po kryjomu, bo tak właściwie to nie wolno ci tego robić i grozi za to kara. Z tym że można się tym przejmować albo nie.

Ja się wcale nie przejmowałam. Już prędzej moja babcia, która chwyciła się za głowę, widząc, że znów pakuję się w tarapaty. Jak wtedy gdy wymyśliłam, że położymy kwiaty i trochę pośpiewamy pod pomnikiem Unii Lubelskiej, który nam zasłoniono płótkiem. Płotki bowiem wydawały mi się zawsze



czymś, przez co koniecznie należy przejść i stanąć po drugiej stronie. Niestety tym razem za przeżalenie przez płotek i rzucanie kwiatkami postanowiono mnie przykładnie ukarać. Gubernator – znaczy się szef – naszego miasta postanowił wysłać mnie do klasztoru, żeby nauczyć mnie moresu, czyli przywołać do porządku, żebym już więcej nie odważyła się buntować. Oj, jak płakała moja babcia, gdy się o tym dowiedziała! Szlochała i myślała wciąż, co zrobić, by mnie przy sobie zatrzymać. Na nic jednak nie zdały się te szlochy. Gdy przyjechała po mnie policja, pod naszym domem zebrali się pół miasta (mówiłam ci, że byłam tam znana). Wszyscy płakali (najgłośniej moja babcia) i błagali policję, by mnie nie zabierano. Strasznie mi się ich wszystkich zrobiło żal, więc żeby dodać im otuchy, stanęłam na schodkach powozu i powiedziałam: Ja poddam się losowi, jadę. Tak trzeba! Ale wtedy wszyscy zaczęli płakać jeszcze głośniej, a powóz, w którym mnie wieziono, obrzucono kwiatami. Głupio przyznać, ale naprawdę poczułam się jak królowa. Albo przynajmniej jak gwiazda.

Szczęście mi sprzyjało, bo nim dojechałam na miejsce odsiadki, zdążyłam po drodze zachorować i wyobrazić sobie: ulitowano się nade mną. Zamiast do klasztoru pojechałam do domu, do mamy do Żytomierza. Ale jeśli by ktoś myślał, że to, co mnie spotkało, zniechęciło mnie choć trochę do niebezpiecznych zabaw, byłby w błędzie. Znow zaczęłam szukać płotków do przeskoczenia i spisków do za-

wiązania, tak mi się spodobało to całe knucie! Pan gubernator wściekał się i pomstował na mnie. Raz nawet napisał list do samego cara, pytając go, co ma, u diabła, zrobić z tą niespokojną mąciwodą. Znaczy się ze mną. Oj, zalazłam mu za skórę!

Nim jednak zdążyli mnie znowu aresztować i wywieźć w jakieś paskudne miejsce za karę, ja im zawczasu związałam. Żarty się skończyły i zrobiło się niebezpiecznie. Uciekłam więc z Żytomierza z dwoma kolegami, z fałszywymi papierami w ręku. Szukano mnie wszędzie. Przeczesywano kraj wzdłuż i wszerz, bo choć nie było wtedy ani telewizji, ani internetu, ludzie dowiadywali się o mnie, powtarzając sobie z ust do ust opowieść o niesfornej dziewczynie z gorącą głową, która knuje intrygi przeciwko carowi. Nic dziwnego, że chciano mnie pochwycić i w końcu wsadzić za kratki.

Tymczasem wybuchło powstanie styczniowe – Polacy postanowili, że dość już tego panowania obcych władców, pora urządzić się po swojemu. Domyślasz się pewnie, że takiej awanturnicy jak ja nie mogło zabraknąć w szeregach. Bardzo chciałam się przydać w tej walce.

Zebrałam więc manatki, wsiadłam na konia i ruszyłam tam w Góry Świętokrzyskie, tam gdzie zatrzymali się powstańcy. Dołączyłam do nich, niespecjalnie ich pytając o zdanie. Zresztą prawie wszyscy mnie już znali z tych krążących po świecie opowieści i chyba od razy też polubili – nie przeszkadzało im, że jestem dziewczyną. Postanowiłam,

że najpierw zajmę się tym, co naprawdę było strasznie, ale to strasznie potrzebne: polowym szpitalem. Polowym, czyli hm... tak jakby będącym w szczerym polu. Na gołej ziemi. Bez sterylnych strzykawek i czystych opatrunków. Szczerze mówiąc, to czasem nawet bez ścian i dachu. Oj, trzeba było widzieć, w jakim stanie wracali z bitew i potyczek moi biedni koledzy. Paskudna jest wojna i niech nikt nie myśli inaczej, bo dostanie ode mnie fangę w nos. Pomagałam więc, jak mogłam, a to bandaże rozdając, a to zupę przynosząc, czasem wydawało mi się, że potrzebuję ośmiu rąk, tyle było pracy.

W końcu jednak przyszło mi do głowy, że zamiast obwiązywać bandażem rannych kolegów sama chcę walczyć. Strój już miałam odpowiedni, całkowicie męski – szerokie spodnie, czarną czamare z futrem, szalik i czapkę konfederatkę na głowie. W sukience z gorsetem i rękawiczkach nie dałabym rady pewnie wejść na konia. Trzeba było wyglądać jak chłopak. Swoją drogą to jest absolutny skandal, że nikt wówczas nie myślał o wygodnych ubraniach dla pań. Warunki w górach były raczej nie dla dam. Czasem spało się pod gołym niebem, na zimnej ziemi, kule świstały mi koło ucha, o głodzie i chłodzie szłam nieraz wiele kilometrów, marząc o

talerzu zupy i o gorącej kąpieli. Moi towarzysze zupełnie zapominali o tym, że pod utyłaną w błocie czamara kryje się delikatna dziewczyna, a nie silny chłopak. Traktowali mnie jak równą sobie. A ja nigdy się nie skarżyłam.



Okazało się w końcu, że na dłuższą chwilę mam zostać chłopakiem. Oto bowiem dyktator naszego powstania, miły mi bardzo, ale to bardzo Marian Langiewicz, musiał pilnie z naszego posterunku ruszyć do Krakowa. W fałszywych dokumentach, jakie miał w ręku, widniało jednak wyraźnie, że podróżuje z siedemnastoletnim synem. Zgadnijcie, kto miał tym synem zostać? A i owszem, ja. Nadawałam się doskonale do tej roli, ale przyznam szczerze, że wtedy to naprawdę miałam stracha. Pojechaliśmy więc razem jako tata i syn Waligórcy w stronę Krakowa. Jakie było zdziwienie tych, którzy nas niestety capnęli, gdy okazało się, że to nie żaden młodzian Waligórski, tylko owo dziewczę sławne na pół świata. Warto było zobaczyć ich miny. Nikt się nie spodziewał dziewczyny.

Mariana niestety przyskrzynili na dłużej, ale ja znów miałam trochę więcej szczęścia, bo puścili mnie wolno i tylko kazali przyrzec, że już więcej się w wojnę bawić nie będę. No to przyrzekłam. W damskich już ubraniach, wychudła i pobladła z ciężkim sercem ruszyłam do Czech. Wybacz, że brzmię jak ostatnia samochwała, ale jak babcię Kocham – Czesi też już wiedzieli o moich przygodach i awanturnicznym usposobieniu i przychodzili pod mój hotel wiwatować na moją cześć. Nie zmyślam – naprawdę tak było. Niedługo potem znalazłam się w Szwajcarii. Nie było łatwo. Babcia pomagała mi, śląc nieco grosza, ale musiałam zakreślić się wokół własnych spraw. Wiedziałam, że powstanie

zakończyło się klęską i że nie mam czego szukać w swoich rodzinnych okolicach. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest smutno, gdy wiesz, że nie możesz już nigdy wrócić do domu.

Zamieniłam szablę i męskie ubrania na eleganckie sukienki i kwiaty. Zostałam kwiaciarką i zaczęłam układać bukiety. Nauczyciele ze szkoły dla pań w końcu byliby ze mnie dumni. Spotkałam tam na wygnaniu starego dobrego znajomego z czasów szpitala polowego, doktora Loewenhardta i jakoś tak od słowa do słowa się w sobie zakochaliśmy. Zostałam żoną, a potem mamą. Ale nigdy nie zapomniałam o tym, że byłam żołnierzem.

Inni za to trochę o tym zapomnieli. O mnie i o innych dziewczynach. Zatem pozwól, że zabiorę cię z wizytą. Odwiedzimy te, które trzeba trochę odkurzyć.

CZAMARA: męski strój szlachecki, długi płaszcz podbity futerkiem. Dziś Pewnie uznano by go za niepraktyczny, łatwiej zapiąć pod szyję puchową kurtkę niż nosić na grzbiecie ciężki płaszcz, ale wtedy nie mogłam sobie wyobrazić niczego wygodniejszego. (Chcesz się poczuć jak dziewczyna w dziewiętnastowiecznej sukni? Włóż na siebie wszystkie swoje ubrania i ściśnij się w talii paskiem, a potem spróbuj się schylić i zawiązać but – gwarantuję: będzie ciężko).

POWSTANIE STYCZNIOWE: wybuchło w 1863 roku, kiedy Polacy pod rosyjskim zaborem postanowili się zbuntować i zawalczyć o własne państwo. Niestety nic z tego nie wyszło i jeszcze wiele kolejnych lat musieliśmy czekać na powstanie niepodległej Polski.

KOBIETY W POWSTANIU: w powstaniu styczniowym brało udział mnóstwo kobiet. Zakładały i prowadziły szpitale dla rannych powstańców jak Józefa Niwińska i Jadwiga Prendowska, były kurierkami przynoszącymi wiadomości jak Anna Czaplicka, siostry Guzowskie Barbara i Emilia, siostry Barczówny: Teofila, Józefa i Emilia, Aniela Ledoux czy Anna Konarzewska, dowoziły jedzenie uwięzionym powstańcom jak Emilia Heurichowa i jej cztery córki, Pelagia Zgliczyńska (narzeczona Jarosława Dąbrowskiego), Wanda Umińska, jej siostra Jadwiga Wolska. Były też takie kobiety, które szły do walki – jak panna Biłek z oddziału Zygmunta Chmieleńskiego. No i jak ja – Anna Henryka Pustowójtówna.

STORADA -CZYLI ŚWIĘTOŚŁAWA

Teraz, bardzo cię proszę, uważaj. Ta bohaterka to postać, której lepiej nie zaleźć za skórę. Najlepiej stań trochę z boku, nie zadawaj pytań i tylko słuchaj uważnie. Sama się czuję nieswojo w jej towarzystwie.

Trochę tu ciemno i zimno, owszem. Przydałby się płaszczyk na futrze, co? Jesteśmy w Skandynawii. O tam, na tronie, siedzi sobie dumna pani. Nazywa się Sygryda. Albo Świętosława. Albo Gunhilda. Albo w ogóle jej nie ma. Proste, co?

W starych, bardzo starych kronikach sprzed wielu wieków znajdują się opowieści o kobiecie, która była córką naszego pierwszego władcy – Mieszka I. Czyli siostrą naszego pierwszego króla Bolesława Chrobrego. I powiadają, że był z niej kawał wrednego babsztyla, co to się nikogo nie bał i rozstawiał ludzi po kątach. Ale wiesz, jak to bywa z takimi opowieściami – bywają całkiem nieprawdziwe. Tak czy owak – podejźmy trochę bliżej. Ciemno, bo pochodnie jakiejś kiepskiej tu mają jakości, więc trze-



ba się nieco zbliżyć, żeby zobaczyć dokładniej. Kalendarz wskazuje, że jest okropnie dawno temu, 980 rok. Sygryda, Świętosława albo Gunhilda wygląda na nieco przestraszona. Nie dziwię się jej wcale. Wyobraź sobie, że ciebie nagle ktoś zabiera z domu, wysyła na daleką północ, gdzie wszyscy gadają w innym języku i robią same niezrozumiałe rzeczy. Na przykład jedzą na śniadanie solonego dorsza. Właśnie to spotkało Świętosławę, kiedy jej rodzice Mieszko i Dobrawa postanowili ją wydać za mąż za szwedzkiego króla Eryka Zwycięskiego. Tu od razu dodam, że wszystkie królowny i księżniczki generalnie miały pod tym względem przechlapane, bo

czy im się to podobało czy nie, były wydawane za mąż. I to nierzadko za tych, których nawet nie za bardzo lubiły. Zazwyczaj ich mężem nie zostawał żaden książę z bajki. (Książęta z bajki nie istnieją, warto zapamiętać!)

Świętosława nie miała nic do gadania i posłuchała rodziców. Z tym że był to ostatni raz, kiedy komukolwiek uległa. Bo od tej pory robiła już wszystko po swojemu.



Siedzi tu na tronie i słucha, jak ogień trzeszczy w palenisku. Pewnie obmyśla właśnie jakiś krwawy plan. Bo to bardzo okrutna babeczka była. Podobno, gdy zmarł jej nieszczęsny szwedzki mąż i została sama z synami, nieustająco pozbywała się zalotników, którzy pojmując ją za żonę, capnęliby przy okazji szwedzki tron. Ale być może to wcale nie ona, bo wiem to z islandzkiej sagi, a te przecież można między bajki włożyć. Mówiło się (ech, te sagi), że kochała się w królu Norwegii Olafie, który niestety nie był zainteresowany jej wdziękami.

Ponieważ z Olafem jakoś nie wyszło, a nie musiała już nikogo słuchać, sama wydała się ponownie za mąż, tym razem za duńskiego władcę Swena I

Widłobrodego. Jak musiał wyglądać Swen Widłobrody, łatwo sobie wyobrazić

– zapewne niezbyt dobrze, skoro nadano mu taki przydomek. Był to zresztą straszny awanturnik, co to nigdy nie bywał w domu, tylko wciąż pływał po zimnych północnych morzach i łupił okolice. Ale jak już się nałupił i skarbiec miał pełen złota i kosztowości, zapragnął żony. Świętosława, nie bacząc więc na widłopodobną brodę Swena Wi-



dłobrodego, wzięła go sobie za męża. Wesele pewnie było huczne, kto wie, może nawet podano coś poza suszonym dorszem? Świętosława urodziła Swenowi trzech synów. O – widzisz ich? Są jeszcze mali i biegają tam, w kącie komnaty. I jeszcze nie mają bród. Królowe nie zajmowały się dziećmi, od tego byli inni ludzie, to chyba jasne. Przewijanie niemowlaka? No nie, to nie zadanie dla okrutnej królowej. Świętosława miała przecież na głowie



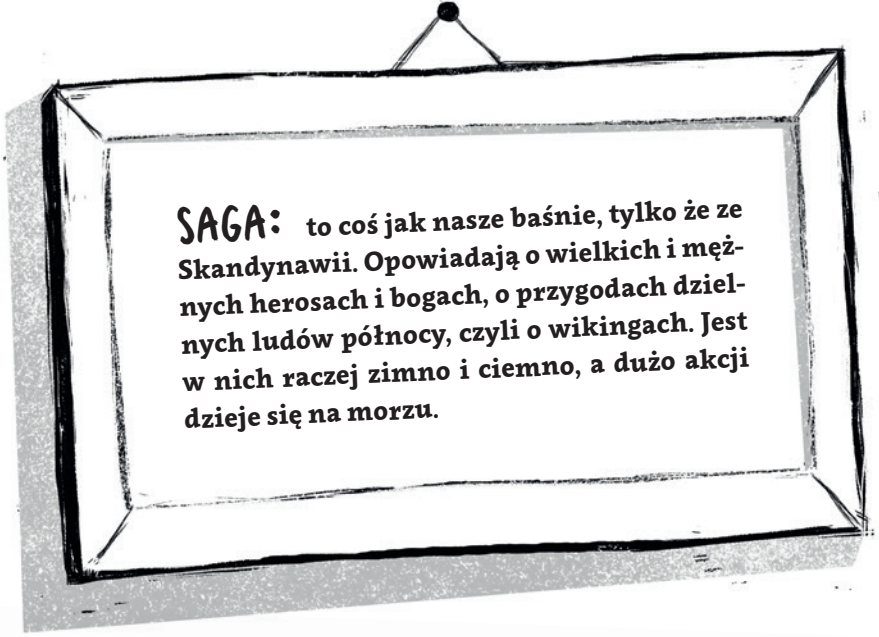
inne sprawy. To pewnie właśnie dlatego tak siedzi i duma okutana w jakieś wilcze skóry (tobie też coraz zimniej? Ja czuję, że zaraz z zimna odpadnie mi nos!).

Mając ze Swenem dwie córki i dwóch synów (i jednego syna z Erykiem), królowa kombinowała, co by tu zrobić, by chłopaków i dziewczyny pousadzać jakoś korzystnie na okolicznych tronach. Tym bowiem zajmowały się koronowane głowy matek i


ojców w dawnych czasach. Pewnego razu jednak widłobrody mąż z jakichś niejasnych, ale na pewno bardzo niemiłych powodów wygnał Świętosławę ze swojego dworu. Zabrała więc manatki i wróciła na dwór swego brata Bolesława Chrobrego, gdzie przez kolejnych dwanaście lat czekała na swoją szansę, knując jednak nieustająco różne intrygi i mieszając się wciąż w politykę. Dziś zapewne byłaby znakomitą posłanką na sejm, a kto wie, czy nie jakąś premierką.

Tak czy owak islandzkie sagi podają, że to właśnie ona – nasza słowiańska Świętosława – maczała swe królewskie paluszki w wielkiej bitwie trzech królów pod Svold. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że norweski król Olaf odrzucił jej względy? No właśnie. I miał pożalować. Bo oto Swen Widłobrody ze swym pasierbem Olofem (synem Eryka Zwycięskiego) spuścili morskie lanie Olafowi Tryggvasonowi z Norwegii. Norwegowi nie pomogły nawet jego okazałe łodzie zwane długimi węzami, w których mieściło się aż dwustu wojowników. Szwedzko-duńskie siły pokonały go w try miga, a sam król jak niepyszny, próbując się ratować ucieczką, skoczył do zimnej wody morskiej i – co za pech – zginął. Wniosek: lepiej było nie zadzierać ze Świętosławą. Marznę, nie czuję już koniuszków palców, a jak z tobą? Widzę, że też szczękasz zębami. O – Świętosława zdmuchnęła pochodnię. Może lepiej będzie nie zostawać z nią w tej ciemności. Zmykajmy, nim dopadnie nas coś widłobrodego.






SAGA: to coś jak nasze baśnie, tylko że ze Skandynawii. Opowiadają o wielkich i męźnych herosach i bogach, o przygodach dzielnych ludów północy, czyli o wikingach. Jest w nich raczej zimno i ciemno, a dużo akcji dzieje się na morzu.

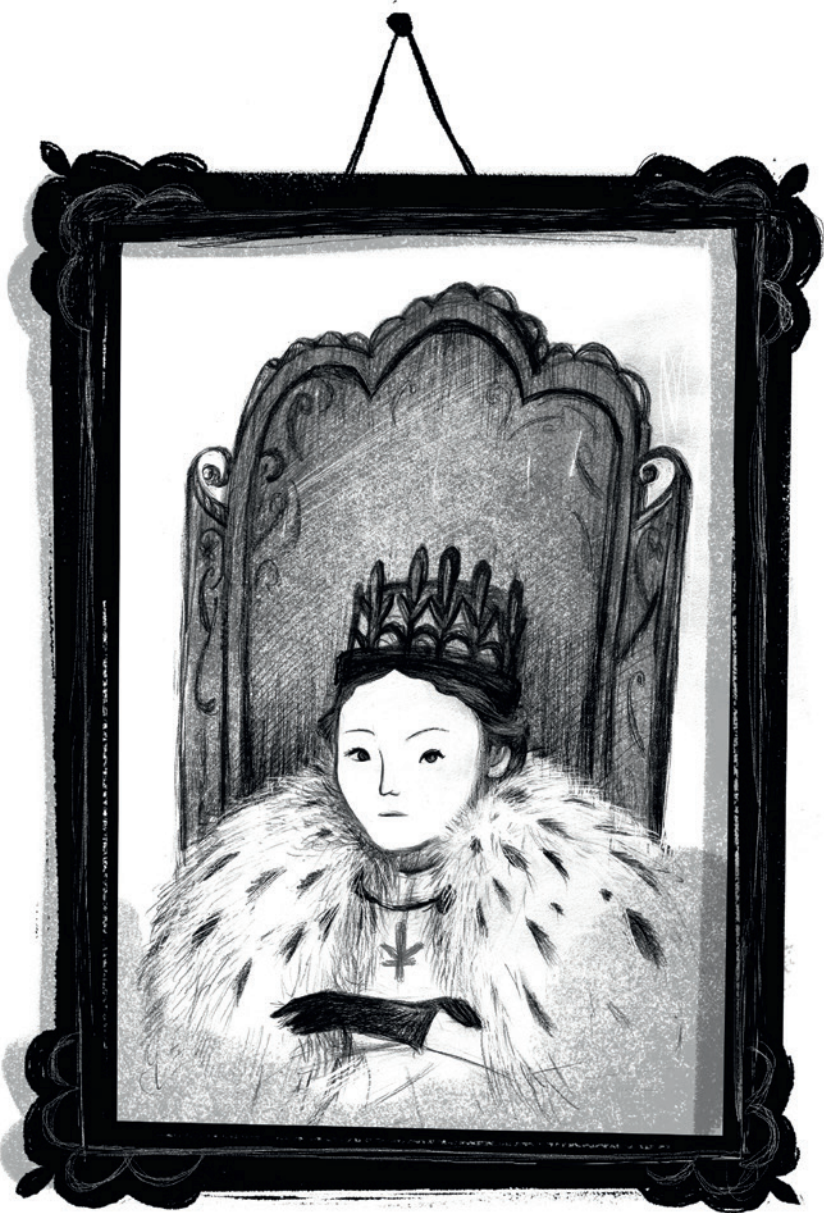


MIESZKO I: księżę Polski z dynastii Piastów, ten, od którego zaczynamy się uczyć o władcach Polski w szkole.



WIKINGOWIE: skandynawscy wojownicy zamieszkujący północne regiony Europy wiele wieków temu, specjalizujący się w podbojach innych krain i łupieniu ich. Podobno wszyscy mieli brody, podobno na hełmach przyczepiali sobie rogi, żeby wyglądać jeszcze groźniej, ale to nic pewnego.

Jadwiga Andegaweńska. Kobie



JADWIGA ANDEGAWEŃSKA - KOBIEȚA - KRÓL

A teraz uwaga – zadanie dla ciebie. Wymień, proszę, jakichś królów Polski. No czekam. Raz, dwa! Bolesław Chrobry, Władysław Jagiełło – no bardzo ładnie, widać uważasz na lekcjach – Kazimierz Wielki, Jan III Sobieski, Stanisław August Poniatowski... tak, tak, wszystko się zgadza. To ja do tego zacnego grona dorzucę teraz jeszcze jednego króla. Nazywał się bardzo ładnie, trochę nietypowo może, bo na imię mu było, wyobraź sobie, Jadwiga. Jadwiga król Polski. Ależ to brzmi!

Skąd taka zdumiona mina? Daj rękę, zmierzamy prosto na Wawel. W czasie kiedy go odwiedzamy, wyglądał nieco inaczej niż na dzisiejszych pocztówkach z Krakowa, ale wierz mi na słowo – jesteśmy dokładnie nad tą samą Smoczą Jamą, pod którą stoi teraz smok z brązu ziejący co dziesięć minut ogniem. Oto na tronie zasiada król Polski, lat dziesięć, Jadwiga Andegaweńska, pochodząca z Węgier dziewczynka, która zarządzała krajem tak jak dziś ty zarządzasz zabawkami w swoim pokoju. Że tro-

chę to dziwne? Ależ wcale a wcale! Dawnymi czasami szybciej osiągało się wiek odpowiedni do zadań innych niż tylko zabawa. A Jadźka (od dawna już jesteśmy po imieniu, nikt mnie tak dobrze nie rozumie jak ona, bratnia dusza po prostu, mówię ci) daje radę.

Jej rodzice, odkąd tylko przyszła na świat, wiedzieli, że to osoba przeznaczona do misji specjalnych. Postawili więc mocno na jej edukację (już wtedy wiadomo było, że aby zrobić karierę, przede wszystkim trzeba mieć wykształcenie) i gdy Jadźkę wybrano na króla Polski, choć była niewielka, dała sobie radę. Prowadziła wojnę, przyjmowała hołdy lenne i w ogóle władała krajem nad Wisłą, spoglądając na Kraków z wawelskiego wzgórza.

Mówią kronikarze, że się mała Jadwiga zakochała w księciu Wilhelmie Habsburgu. I że gdy postanowiono, że ma pojąć innego za męża, z żalu i rozpaczem pobiegła z toporem, by rozwalić w pył wawelską bramę i uciec do ukochanego. Ale wiesz, jak to jest z plotkami: ziarno prawdy bywa w nich maciupeńkie. Ten inny, którego jej zaproponowano, miał na imię Władek – Władysław Jagiełło pochodził z dalekiej i nieznannej Jadwidze Litwy. Krótko mówiąc, nie wiedziała, kogo ma się spodziewać, zwłaszcza że plotkarze, których jak już wiesz, pełno było na królewskim dworze, przynosili straszne opowieści o dzikim człowieku, co nie umie się posługiwać gęsą piórem ani nawet łyżką.

Bała się też, czy wybranek polubi tak jak ona zaba-

wy, w których była mistrzynią. Królowanie przecież to zasadniczo straszna nuda, więc młoda władczyni szukała sobie rozrywek. Uwielbiała tańce, ucztę i nowe sukienki. Władek tymczasem okazał się nie aż takim gburem, jak go opisywano, i do zabaw na Wawelu chętnie dołączał. Miał co prawda poważne wady: sypiał strasznie długo i rano było go ciężko dobudzić, mniej więcej tak jak ciebie w

poniedziałek rano do szkoły, ale przecież mogło być gorzej, jak mówili niechętni mu dworzanie. Podobno jednak budził wielkie zadziwienie na krakowskim dworze, bo miał w zwyczaju codzienne mycie. Wówczas zaś przeciętny człowiek do balii z gorącą wodą wchodził raz do roku, koło Wielkanocy. Co gorsza, Jagiełło zamiast smarować do rękawa używał ponoć chusteczek do nosa, co również zdumiewało poddanych.

Okazało się więc, że strach ma wielkie oczy i udało się jakoś Jadwidze przekonać do litewskiego księcia. Jeździli razem na polowania, słuchali śpiewu słowików (bo to była Władka ulubiona muzyka) albo któregoś z dwóch wawelskich kapel (Władek dołożył do zespołu swoich muzyków, w tym gęślarzy).

O, a teraz, proszę, chodźmy tędy, z Wawelu pod kościół na Karmelickiej. Widzisz ten ślad? To jest stópka królowej Jadwigi. Pewnego razu, gdy doglądała budowy (bo bardzo lubiła mieć na wszystko oko), zobaczyła, że siedzi tam bardzo smutny człowiek. Gdy spytała go, co go tak dręczy, odpowiedział, że ma chorą żonę i że brak mu pieniędzy, by ją wyleczyć. Jadzka wtedy, nie myśląc dwa razy, zdjęła z nogi swój piękny bucik (a musisz wiedzieć, że królewski bucik to nie była jakaś tam zwykła tenisówka na gumie, tylko wysadzany klejnotami skarb) i podała mu, mówiąc, żeby go sprzedał i tym opłacił leczenie. I wtedy właśnie niechcący wsadziła swą maleńką stópkę w świeże wapno, tak że został ślad. Obdarowany człowiek rzucił się, by ślad ów zacho-

wać, i dzięki temu możemy dziś spojrzeć na królewską nóżkę odbitą w wapnie.

Jadwiga zawsze lubiła się uczyć, ceniła więc bardzo Akademię Krakowską (dziś nazywa się ona Uniwersytet Jagielloński) i wspierała ją hojnie – w tym celu oddała nawet swoje piękne suknie, kosztowności i skarby.

Ta mała dziewczynka zasiadająca na tronie była mądra, dobra i skromna. I chyba również po prostu fajna. Zresztą sprawdźmy – dziś na Wawelu ucztą i tańce, usiądźmy gdzieś obok i popatrzmy na króla Jadwigę. Może i nas zaprosi do tańca.